

NURATA I RENUS

Love story Grodu Lwa

I

Dzieje krajów i krain giną w mrokach chaosu, nieładu, nieokreśloności, zwłaszcza niewiedzy o tym, co zdarzyło się u ich początku. Nie inaczej jest z Ziemią Lęborską i z bliskimi jej Kaszubami.

Nie od razu ten kawałek świata stał się taki, jaki jest dzisiaj. Wcześniej działały tu żywioły. Ruch skorupy ziemskiej pofałdował powierzchnię ziemi. Tworzyły się i przesuwały lodowce. Wiały gwałtowne wiatry. Padały ulewne deszcze. Wszystko paraliżowały śnieżyce. Wody przemieszczały się nieograniczenie, nim w końcu uformowały się z nich jeziora, rzeki i morze. Żyły dinozaury. Rosły gigantyczne skrzypy, widłaki i paprocie.

Wreszcie na Ziemię Lęborską wkraczały powoli porządek i spokój. Wody oddzieliły się od suchego lądu. Ostatni lodowiec odszedł na północ. Pozostawił po sobie wzgórza, rynny, faliste równiny i wielkie głazy narzutowe.

Kraina zaczęła pięknieć, a nawet rozkwitać. Zieleniła się od potężnych lasów, brązowiła dzięki rozległym, leśnym polanom, żółkła od dzikich roślin, z których później ludzie uczynili zboża, błękitniała dzięki strumieniom, rzekom i stawom. Niezliczone, polne kwiaty łączyły się w bukiety barw. Lęborska przyroda wkładała na siebie uroczystą szatę i czekała na człowieka, który ją uszanuje, doceni jej niezwykłość i będzie z nią współpracować.

II

Nad rozległym, otoczonym lasem jeziorem mieszkał Renus. Jezioro nie miało jeszcze nazwy, nie była nikomu potrzebna. Dzisiaj jest ono znane jako Lubowidzkie i przyciąga mieszkańców Lęborka szukających uroków natury oraz przygody z dala od hałasów miasta. Przed wiekami wypoczywać nie przyjeżdżał tu nikt. Na brzegu jeziora widniały pojedyncze, małe, drewniane chatki. Mieszkańcy żyli z połowu ryb i z uprawy tego, co rodziły małe, przydomowe ogródki.

Dołączył do nich Renus, młody, rośły, zaradny przybysz nie wiadomo skąd. Chociaż niewiele opowiadał o sobie sąsiadom, ci szybko go polubili. Był bowiem pogodny i zawsze chętnie pomagał innym. Pytano go wiele razy, czy pochodzi z rodziny Remusa, kaszubskiego sowizdrzała i obieżyświata, bohatera głośnej, napisanej po latach powieści Aleksandra Majkowskiego *Žěcé i przigòdë Remùsa*. Zastanawiano się, czy jest spokrewniony z Remusem, bratem Romulusa założyciela Rzymu. O rzymski rodowód bano się pytać Renusa wprost. Między braćmi doszło wszak do walki, w której Remus zginął. Renus znad Jeziora Lubowidzkiego nigdy nie zaprzeczał pokrewieństwu z kaszubskim śmiałkiem. Jak on był odważny. O wychowanku rzymskiej wilczycy nie mówił niczego.

Najważniejsze było to, że był prawy, uczynny i wesoły. Także przystojny i samotny.

III

Małżonkowie Grażina i Andrzej zajmowali się rolnictwem. Uprawiali żyto i owies, hodowali krowy i kury, pielęgnowali warzywa i owoce. Zastanawiali się nad powiększeniem gospodarstwa. Wokół ich domostwa ziemi leżącej odłogiem było w bród. Rozległa równina na północ od morenowych wzgórz - jej częścią jest dzisiaj wieś Leśnice - nie była gęsto zaludniona. Każdy mógł uznać za własną część potężnego lasu na zboczach polodowcowego wzniesienia.

Gospodarze nie mieli dzieci. Podjęli się opieki nad piękną dziewczyną o imieniu Nurata. Poznali ją i przygarnęli, gdy była małą dziewczynką. Kiedy dorosła, Nurata promieniała nie tylko urodą i życzliwością dla innych. Widać w niej było pewien smutek, jakby tęsknotę, zamyślenie, może oczekiwanie. Powściągliwość ta nie zamieniała się w obojętność lub nieobecność, ani ucieczkę od domowych obowiązków. Tych dziewczynie i jej opiekunom nie brakowało.

Skąd wzięło się jej imię, nigdzie niespotykane? Tego nie wiedział nikt. Mówiono, że Nurata jest z rodziny Juraty, sławnej litewskiej bogini, może jedynie syreny, mieszkającej w wodach Bałtyku. Jeżeli tak było, Grażina i Andrzej zachowali o tym pamięć dla siebie. Sąsiedzi, jak zawsze wścibscy, a przynajmniej ciekawscy, pytań nie zadawali. Nuratę lubili wszyscy, a ona starała się każdemu, jak umiała, ułatwiać codzienne zmagania.

IV

W dawnych, odległych czasach przeważała gospodarka naturalna. Produkowano głównie na potrzeby własne. Wymagało to nie lada sztuki: trzeba było siebie wyżywić, przyodziać, wybudować dom, urządzić go. Nieduże nadwyżki wytwarzanych produktów zamieniano na inne przedmioty. Handel wymienny utrzymywał się długo. Powoli wypierał go handel z użyciem prostych płacideł, a następnie metalowych, błyszczących w słońcu pieniędzy. Sprzedający i kupujący musieli spotkać się w określonym miejscu. Pojawił się rynek, gdzie nie tylko dobijano targu, ale rodziła się okazja załatwiać sprawy ważniejsze niż handel.

Renus miał w obfitości ryby. Wędził je, suszył, oferował na świeżo, z głową, bez głowy, bez ogona, po wypatroszeniu. Nurata plotła koszyki i tkala na krośnie obrusy ozdabiając haftem. Proponowała też drewniane zabawki wykonane przez jej opiekuna Andrzeja. Renus i Nurata posiadali więc nadwyżki. Mogli zaopatrywać się w to, czego nie wytwarzali sami.

Między Jeziorem Lubowidzkim a równiną wokół wsi Leśnice rósł gęsty las. Przecinał go uczyniony ludzką ręką dukt ciągnący się ze wschodu na zachód. W połowie leśnej drogi znajdowała się niemałych rozmiarów polana. Na niej raz w tygodniu spotykali się mieszkańcy okolicznych ziem, by przy pomocy pieniądza lub bez niego sprzedać i kupić to, co sporządzali w większych ilościach. Jednocześnie mogli się dowiedzieć się, co u kogo słychać, poznać nowiny z dalekiego świata oraz nawiązać kontakty towarzyskie.

Na targ Nurata podróżowała z zachodu na wschód, Renus ze wschodu na zachód. Cel ich podróży znajdował się dokładnie tam, gdzie handluje się dzisiaj: na lęborskim targowisku. Wokół polany rozciągała się puszcza. Rosły mocarne dęby, wysmukłe buki, pnące się do nieba sosny, pojawiały się rozłożyste, pełne symetrii świerki, dopełniały całości skromne, wręcz ubogie, rachityczne brzozy.

V

Kiedy Renus pierwszy raz dostrzegł Nuratę wśród parających się handlem, uznał, że bardzo potrzebuje pleciony koszyk. Przyda się na suszone ryby, będzie gdzie pomieścić grzyby rosnące obficie wokół Jeziora Lubowidzkiego, nie będzie musiał układać jabłka na desce wyciętej topornie z pnia drzewa.

Podszedł do Nuraty, przedstawił się i powiedział, że chce przyjrzeć się koszykom. Dwa z nich wybrał. Jako zapłatę zaproponował rośłego szczupaka i wyjątkowo długiego węgorza. Nurata chciała się targować, czego nauczyła ją opiekunka Grażina. Szybko stanęło na dorzuceniu przez Renusa trzeciej ryby: niedużej, ale wybornie smacznej siei.

Renus podziękował za koszyki i chcąc nie chcąc odszedł. Naprędce nie umiał znaleźć tematu do rozmowy. Nie chciał dyskutować, czy tego dnia panuje drożyzna, czy w lasach ubywa zwierzyny, czy zanoszą się pogorszenie pogody, czy też – jak mówili ostatnio przybysze z północy – fale na morzu są wysokie i co to oznacza dla mieszkających dzień drogi od morskiego brzegu.

W kolejny dzień targowy Renus znowu interesował się kupnem koszyków. Nic w tym dziwnego. Są to urządzenia niezwykle przydatne, szczególnie, gdy mieszka się w niedużej chatce nad brzegiem uroczego jeziora. Wyraził też chęć nabycia od Nuraty drewnianych zabawek dla, jak powiedział, dzieci sąsiadów. Nie potrafił przełamać się i poprosić o obrus ozdobiony roślinnym haftem. Był drogi i zupełnie nie pasował do potrzeb kawalera, który jadał na stole drewnianym, nie do końca równym. Jako zapłatę przekazywał przygotowane do spożycia na różne sposoby ryby i grzyby, zwłaszcza koźlaki i maślaki. Już wtedy lęborskie lasy były ich pełne.

Pojawił się temat do ciekawych rozmów: ptaki lecące kluczem. Nieraz Nurata i Renus obserwowali na niebie żurawie, kaczki i gęsi. Zwłaszcza żurawie przyciągały ich uwagę głośnym, charakterystycznym krzykiem. Nurata i Renus dyskutowali, dlaczego ptaki lecą jeden za drugim, tworząc dwa połączone ramiona. Ona twierdziła, że przewodnik wskazuje wszystkim drogę. On, że oszczędza im wysiłku przy pokonywaniu oporu powietrza.

W tamtych czasach młodzi ludzie nie zastanawiali się dlatego lata helikopter.

VI

Nurata zaprosiła Renusa do siebie, do domu jej opiekunów na równinie u stóp wzgórz porośniętych lasami. W rewanżu Renus zamierzał ugościć Nuratę, z opiekunami lub samą, nad Jeziorem Lubowidzkim. Wielkimi krokami zbliżała się ku temu okazja: noc świętojańska i święto mieszkańców znad wielkiej wody. Wcześniej Nurata i Renus mieli się spotkać na targu i uzgodnić szczegóły. Jak zawsze, przygotowywali towary dla nabywców i prezenty dla siebie. W dniu targowym wyruszyli skoro świt. Już w tamtych czasach najkorzystniejsze interesy zawierano z rana, gdy produktów było najwięcej i nikt nigdzie się nie spieszył. Późne przybycie na targ nie miało sensu.

Leśny dukt przywitał ich śpiewem ptaków, śladami dzikich zwierząt na piaszczystej drodze i promieniami słońca przedzierającymi się przez gęstwinę splecionych gałęzi. Dzień

zapowiadał się piękny i udany dla handlowców. Było ciepło, robiło się coraz cieplej. Dawno nie padał deszcz.

Pierwsi kupcy zaczęli wyładować towary na polanie. Dołączyli do nich mieszkanka równin i mieszkaniac lasu obok jeziora. Tego dnia na targu można było nabyć wyjątkowo liczne zwierzęta gospodarskie: kury, koguty, indyki, owce, cielęta, krowy, nawet konie. Jak nigdy rozlegało się głośne gdakanie, pianie, gulgotanie, beczenie, ryczenie, muczenie i parskanie. Wśród rumaków pojawił się biały, atletycznej budowy ogier. Sądząc po nerwowości zwierzęcia był niesamowicie energiczny. Ile ryb trzeba było dać za tego tytana mocy? Ile był wart koszyków i obrusów?

Nurata i Renus szybko odnaleźli się wśród prowadzących handel. Pomachali do siebie, co oznaczało, że targ i zarobek zyskują pierwszeństwo przed rozmową o żurawiach, które wydają z siebie jednostajny dźwięk i zgodnie latają kluczem.

VII

Około południa, gdy transakcje handlowe były w większości dokonane, nastał czas wymiany informacji i plotek. I wtedy nagle, od północy, od strony dzisiejszej Nowej Wsi Lęborskiej, pojawił się na niebie czarny dym. Oznaka pożaru!

Wszyscy dostrzegli zagrożenie. Ogień wydawał się być daleko, ale jak daleko nie potrafił powiedzieć nikt. Plac handlowy znajdował się na dużej polanie, wokół niej rósł ogromny las. W tym momencie był zielony i spokojny, ale niedługo mógł stać się czerwony i gorący. Powiało grozą!

Płonęły wierzchołki drzew. Ogień przemieszczał się w górnych partiach: był to pożar nazywany dzisiaj wierzchołkowym. Pożoga przesuwała się w stronę południową, zbliżała się do polany. Taki pożar rozszerza się z prędkością nawet dziesięć kilometrów na godzinę. Przynosi trąby powietrzne, rozrzuca ogniste żagwie na dwieście metrów, a przede wszystkim, jak wielki ogień czyni to zawsze, zanieczyszcza powietrze dwutlenkiem i tlenkiem węgla. Mieszkańcy okolic wielkiego lasu nie mieli precyzyjnych wiadomości z chemii i pożarnictwa, ale zdawali sobie sprawę z tego, że pożar jest bardzo niebezpieczny.

- Co robić? - zastanawiali się zebrani na polanie.

- Dokąd uciekać? - pytali Nurata i Renus.

Było oczywiste, że trzeba działać natychmiast. Jedynym wyjściem z lasu był dukt, jeszcze wolny od ognia. Czy skierować się na wschód, czy na zachód? Renus uważał, że na

wschód, gdyż z targowej polany do Jeziora Lubowidzkiego było bliżej niż do gospodarstwa na równinie opiekunów Nuraty. Zrobiono na odwrót. Nurata zauważyła, że gęsty, sosnowy las dochodzi do Jeziora, ogień pochłonie więc wszystko na brzegu. Natomiast jej dom leży w sporej odległości od drzew i jeżeli nie zapali się pole ze zbożem, ogień nie dotrze do zabudowań. Miała rację: drzewa i ściółka leśna były suche, ale ziarna i łodygi zbóż zawierały dużo wody. Do żniw było jeszcze daleko.

W pierwszej chwili Renus chciał uciekać z lasu razem z Nuratą konno. Szybko oboje zorientowali się, że pomimo pożaru konie na targu ciągle drogo kosztują. Nie było na co czekać. Ruszyli w drogę jak przyszli, na piechotę. Ciągnęli za sobą niewielkie wózki z towarami na handel.

Opuścili las nim dogonił ich ogień. A ten stawał się coraz potężniejszy. Powietrze robiło się coraz gorętsze. Niebo traciło niebieski kolor. Robiło się pomarańczowe i czerwone. Straszliwe!

VIII

Pożar przyniósł katastrofę. Zniknęła część lasu mieszanego przylegająca do handlowej polany oraz wielki bór sosnowy w okolicach dzisiejszych Garczegorza i Nowej Wsi Lęborskiej. Nie było sygnałów, by z powodu ognia ktoś zginął. Kupcy nie mogli się doliczyć zwierząt: gdy zrobiło się gorąco, rozbiegły się na wszystkie strony. Być może wspaniały, biały ogier przetrwał pożar: widziano jak uwolniony z pęt pędził jak oszalały przez palący się las. Później nigdzie go nie widziano.

Pozostało pożarzysko: nagromadzenie wypalonych drzew, krzewów, traw i przykrywających ziemię popiołów. Przyroda nie zna jednak próżni: w miejsce tego, co strawił ogień, wyłaniało się nowe życie: najpierw rośliny, z czasem dzikie zwierzęta, na koniec powrócili ludzie. Przebudzenie, ożywienie i odrodzenie trwało długo.

Po pożarze Renus zamieszkał z Nuratą i jej opiekunami. Droga do chatki nad Jeziorem została odcięta. Gdy pożar się wypalił, a wiatr rozwiał nad pogorzeliskiem niezdrowe gazy, Renus przekonał się, że z jego domu pozostały zgliszcza. Zaproponowano mu, by pozostał na stałe na równinie u opiekunów Nuraty. Tam ogień nie dotarł.

Pomagał więc Grażinie i Andrzejowi, także Nuracie, w prowadzeniu gospodarstwa. Handel nadwyżkami na pewien czas zamarł. Było to utrudnieniem dla każdego, ale posiadacze

ziemi użytkowanej rolniczo umieli wykonać wiele niezbędnych przedmiotów sami. W nowych warunkach dawali sobie radę.

Szybko nadszedł dzień, gdy Nurata i Renus ogłosili, że zamierzają się pobrać. Ślub i wesele odbyły się w domu panny młodej.

IX

Najciekawszą częścią uroczystości była parada ptaków na cześć Nuraty i Renusa. Oboje wielokrotnie z wielką przyjemnością obserwowali i komentowali, zwłaszcza po obiedzie i o zmroku, ptaki przelatujące kluczem nad domem Grażyny i Andrzeja. Dostrzegły to skrzydlate zwierzęta, zapamiętały i postanowiły pokazać w dniu zaślubin swą potęgę i piękno w całej rozciągłości. Miejscem ich koncentracji był wielki głąz koło dzisiejszego Kisewa, nazywany nie wiadomo czemu Diabelskim Kamieniem. Ustaliły tam w jakiej kolejności pojawiają się u państwa młodych i jakie wykonają ptasie, podniebne ewolucje.

Najpierw poszybowały kaczki. Utworzyły zbudowaną z prostych ramion literę V. Wydawały ciche dźwięki w przybliżeniu równej wysokości. Za nimi pojawiły się gęsi. Leciąły niżej niż kaczki: ramiona ich litery V nie były już tak równe, wydawały odgłosy mocniejsze. W gruncie rzeczy każda z nich kwakała po swojemu. Nie powstała z tego jedna linia melodyczna, ale wielka, kacza, niewolna od wdzięku, cudowna kakofonia. Gdy ucichły, zjawiły się żurawie. Również one zbudowały literę V, ale była ona pozbawiona ostrego czubka na przodzie. Żurawi klangor okazał się niezwykle donośny: był jednostajny, zbudowany z pojedynczych, krótkich dźwięków, chwilami zamieniał się w krzyk. Ruch ptaków w powietrzu był powolny, ale płynny, wzniosły. Wydawało się, że machają skrzydłami do Nuraty i Renusa, by przekazać najlepsze życzenia.

Następnie przybyło osiem potężnych bocianów. Nie leciały kluczem. Nigdy tego nie robią. Ich szyje były w locie wyprostowane, przez co bociany wydawały się niesamowicie długie. Białe-czarne upierzenie czyniło je najbardziej majestatycznymi ze wszystkich dotychczasowych uczestników weselnego przelotu.

Ale nie one miały zdobyć pozycję królów przestworzy. Nadleciał samotny orzeł bielik. Brązowy z białymi piórami ogonowymi, zwanymi sterówkami, w powietrzu wydawał się czarny. Przydawały mu dostojeństwa szeroko rozłożone, poruszające się nieznacznie, niemal nieruchome skrzydła. Szybował nad gospodarstwem rysując kilka razy ogromną elipsę. W pewnej chwili tuż za nim zjawił się czarny kruk. Ptak to znacznie mniejszy, ale szybszy i

gotowy atakować. Zmusił bielika do dużego wysiłku: do szybkiego lotu i meandrowania. Bielik okazał się, jeśli nie królem, to z pewnością niepokonanym księciem przestworzy. Plany kruka spaliły na panewce. Odleciał nienajedzony. A ponieważ bieliki nie jężdżą innych ptaków, kruk opuszczał weselną scenę bez obaw o rewanz ze strony niedoszłej ofiary.

Jako ostatni pozdrowił młodą parę orzeł przedni. Ten niezwykle silny ptak potrafi zapolować na wilki. Pomimo mniejszych rozmiarów, jest groźny dla bielika. Oczywiście dzisiaj żadnego zagrożenia nie było. Orzeł przedni najpierw wytwornie przeleciał nad Nuratą i Renusem, potem wylądował na drzewie blisko weselnego stołu. Z powagą i spokojem, wręcz z dostojeństwem, spojrzał na młodych, pokręcił głową na obie strony i jakby zaczął na coś czekać. Bił z niego blask króla ptaków. Wydawał się symbolem porządku i zgody między ludźmi. Lustrował długą chwilę ziemską część swego królestwa, przyglądał się uczestnikom biesiady, najwięcej Nuracie, wreszcie uniósł skrzydła do lotu i dostojnie wkroczył do niezmierzonej, powietrznej krainy, stanowiącej drugą część przestrzeni w jego władaniu.

Na tym defilada ptaków zakończyła się.

X

Nurata i Renus zamierzali wyprowadzić się z domu Grażyny i Andrzeja. Ale dokąd?

Na równinie niżej wzgórz, blisko dzisiejszej wsi Leśnice, znalazłoby się miejsce pod nowy dom i gospodarstwo. To, co najlepsze, miało już właściciela. Zaczęli więc szukać dalej, ale nie daleko. Odbudowa spalonej chaty nad Jeziorem Lubowidzkim wydawała się złym pomysłem: trudno było tu zbudować duży dom z rozległym, wygodnym obejściem.

Postanowili zamieszkać tam, gdzie spalił się las, a wcześniej odbywały targi. Nikt niczym już nie handlował, duża polana stała pusta, obok niej straszyły wypalone drzewa i krzaki. Terenu nie brakowało, ale wcześniej pozostałości po pożarze należało wykarczować. Nurata i Renus wybrali miejsce izolowane ze wszystkich stron przez rzekę. W naszych czasach mówimy o Wyspie Młyńskiej i rzece Lebie. Granice Wyspy i odnogi Leby przebiegały wtedy trochę inaczej niż obecnie. Na Wyspie nie stał pokrzyżacki zamek, którego jedna ściana jest autentycznie krzyżacka, zaś ściany pozostałe zbudowano na jej wzór później. Nie istniał też budynek zwany ciągle młynem, chociaż od dawna nie miele się w nim mąki. Wyspa Młyńska stanowiła spory kawałek ziemi, izolowała od otoczenia i mało ją zniszczył gigantyczny pożar. Uległo tu wypaleniu niewiele drzew, traw i krzaków. W tamtym czasie, po pożarze, Wyspę Młyńską można było uważać za wyspę w istocie zieloną.

Nurata i Renus, z pomocą Grażyny, Andrzeja i sąsiadów, postawili najpierw nieduży dom mieszkalny, po nim budynki gospodarskie, założyli sad, urządzili ogrody warzywne i kwiatowy, na koniec otworzyli pasiekę. W ich ślady poszli w okolicy inni.

XI

Blisko Wyspy Młyńskiej przybywało domostw. Pożar uczynił w puszczy dużą wyrwę. Nikt nie zamierzał oddać ją przyrodzie. Każdy chciał, by człowiek, nie ona, wziął to miejsce w wyłączne władanie. Usuwano, co zostało po wielkim ogniu, powstawały pola, łąki, pastwiska, drogi dojazdowe, domy. Pracy było pełno. Na szczęście wszyscy byli życzliwi i mogli na sobie polegać.

Odrodził się handel. W tym samym miejscu, co dawniej, targowano się ponownie. Zachowano wszelkie kupieckie zwyczaje. Jarmark potężniał i przestał być, jak dawniej, samotnym, wielkim kołem wyciętym wewnątrz wielkiego, gęstego lasu. Wokół placu handlowego rosły ludzkie siedziby. Powoli, krok po kroku, powstała najpierw mała, potem duża wieś, z czasem osada, osiedle, wreszcie skromne, przytulne miasteczko, na koniec gród. Działo się to tam, gdzie dzisiaj znajduje się Lębork.

Jednak droga do szczęścia bywa kręta. W gospodarce, w sporcie, w nauce, w grach liczbowych, w cywilizacji, w polityce, nawet w małżeństwie, pojawiają się utrudnienia. Przypełzają same, zaproszone lub niechciane. Wzrost, poprawa i rozwój nie pną się w górę jak czyni to na wykresie pełna optymizmu i sprężystości matematyczna krzywa. Krzywa życia wznosi się i opada, staje się stroma lub płaska, słabnie i po pewnym czasie rośnie znowu, zwłaszcza, gdy jej przyjacielem jest ludzki upór.

Utrudnienia wszędzie są do siebie podobne. Odmienna jest ich szata zewnętrzna, nie istota. Na Ziemi Lęborskiej, budującej lepsze życie po pożarze, kłopoty sprzęgły się z tym, co przybywało, a raczej dopełzało, z położonych u jej wrót Kaszub. Żyje tam po różnych kątach niewiarygodnie dużo przedziwnych stworów, kreatur, monstrów, dziwolągów i poczwara.

XII

Latem podlęborskie pola zamieniały się w żółte, zbożowe dywany, na których tu i tam pojawiały się – nie wiedzieć czemu – duże, ciemne plamy. W tych miejscach pszenica i żyto nie rosły. Mieszkała tam żytnia baba, czyli *žėtnô baba*, zmieniająca często siedlisko i z tego powodu spacerująca po polach i polnych drogach.

A niechby sobie mieszkała i podgryzała gospodarzom ziarno zbóż. Ona jednak łąziła i zamiast przeganiać ludzi i zwierzęta, by nie niszczyli zbiorów, okazała się straszidłem zniechęcającym do pracy na roli. Chętnych z nią rozmawiać nie było. Wyglądała dziwacznie: z kosą, o wielkich szklanych oczach, w czarnej sukni i chustce na głowie, z głębokimi zmarszczkami i wyszczerzonymi zębami.

Czymś innym było spotkanie z borowcem. Był to staruszek z siwą brodą, długimi włosami, podtrzymujący się kijem, pilnujący lasu. Gdy ktoś zagrażał drzewom, jego broda i włosy czerniały, a borowiec powiększał swe rozmiary: stawał się olbrzymem. *Bòrówc* dużo spacerował, także po polach i łąkach. Był dobroduszny, ale każdy wiedział, że rozgniewany przestaje wyglądać pocziwie i przstraszy także tego, kto nie zasługiwał na skarcenie.

Renus zajmował się uprawą zbóż, łowieniem ryb, hodowlą zwierząt domowych, polował w lesie. Latem jego głównym zadaniem było zebranie z pola zbóż. Żniwiarz musi odpoczywać, a po południu lubi się zdrzemnąć. W takich chwilach pojawiała się przybyła z Kaszub południca. Była bardzo piękna. Podkreślały jej urodę zwiewne szaty i wieniec na głowie z kłosów zbóż. *Ódrzepôłnica* budziła ze snu rolników, również Renusa. Przypominała, że czas wrócić do pracy.

O każdej porze dnia mogła zjawić się jej koleżanka, polnica. Była wprost cudowna. Na głowie miała wspaniałą, pachnącą latem wieniec z kolorowych kwiatów. Mężczyźni na polu oczekiwali jej przybycia: przysparzała urodzaju, chroniła przed wilkami. Jej brak źle wróżył gospodarstwu. Jakże zatem nie wyczekiwać, kiedy przybędzie *pólnica*? Jak nie lekceważyć tego, co potrzebne jest do sukcesu skazanego na wysiłek młodego, tryskającego mocą rolnika?

Najgorzej było, gdy pojawiał się smętek. Był mężczyzną wysokim, chudym, poruszał się wolno, miał na sobie czarny, długi do ziemi płaszcz, w rękę trzymał do niczego mu niepotrzebny, zakrzywiony kij. Wszystkim uważnie przyglądał się z daleka. Do nikogo nie podchodził. Był milczący, tajemniczy. Nikomu nie wchodził w drogę, po prostu snuł się bez celu. Każdy dobrze znający Pomorze wiedział, że jest to gość niepożądany.

Smãtk niósł zniechęcenie, obojętność, ospałość, wręcz rozpacz. Wystarczyło na niego popatrzeć, by stracić ochotę do pracy, do działania, do myślenia, do radości z odpoczynku, do obserwowania ptaków, do rozmów, zwierzeń, robienia planów, długiego przesiadywania wieczorem kosztem snu. Budowniczym przyszłego Lęborka *smãtk* nie pomagał. Rozbrajał także Nuratę i Renusa. Przybywał i odchodził. Powracał i straszył swą osobą. Niczego nikomu

nie zabierał, ale w niewielkim grodzie wszystko stawało się cięższe i zaczynało rozpadać się na kawałki.

Zastanawiano się, jak się go pozbyć. Dyskutowano o tym przy okazji targów.

XIII

Wielkim przeciwnikiem smętka stała się Nurata. Uważała, że gdy tylko ona i jej mąż poprawią cokolwiek w gospodarstwie, gdy odniosą na targu choćby mały sukces, jeżeli w jakiejś formie wesprą sąsiadów, zaraz przybywa smętek, łązi wzdłuż brzegów Wyspy Młynarskiej, wypatruje, co dzieje się po drugiej stronie, wierci wzrokiem jakby ludzi i rzeczy chciał przewiercić lub rozwiercić, i wszystko idzie w gorszym kierunku. Sprawy zaczynają się rozłazić, płatać, gubić, opóźniać, a jeśli coś trochę się uda, ona nie czuje z tego powodu zadowolenia. Nie tak ma wyglądać jej świat!

Inne kobiety w okolicy również były niezadowolone. Gdy one i ich mężowie coś poprawią lub posuną do przodu, natychmiast pojawia się rozprężenie i nad wszystkim unosi się bezruch. Nieznośna lekkość ohydneho niebytu.

Sposobem uwolnienia się od roznosiciela kłopotów wydawało się przepędzenie go. Na pozór! Kiedy w odpowiedzi na pojawienie się *smętka* uaktywniały się dyżurujące psy, kobieta z miotłą, mężczyzna z drągiem, Nurata z wałkiem do ciasta lub Renus z grabiami do siana, natrętny przybysz błyskawicznie znikał, rozpływał się we mgle lub w powietrzu, by po jakimś czasie dać się zobaczyć znowu. Sprawy raz jeszcze marniały, słabły, znowu nikomu nic się nie chciało, powracało głośnie ziewanie i totalny brak efektów.

Było jasne, że dłużej tak być nie może. Stało się pewne, że z sennego, rachitycznego grodu nigdy nie powstanie Lębork.

XIV

Pracowity dzień targowy zbliżał się do końca. Po zwiezieniu zakupów do domu Renus postanowił udać się na spacer poza Wyspę Młyńską. Po pożarze przyroda stale odradzała się, choć ślady ognia były nadal widoczne. Gospodarz chciał odwiedzić sąsiadów, którzy wkraczali na wypaloną przestrzeń, stawiając co rusz nowe zabudowania.

U stóp rozłożystego dębu, który podczas pożaru niewiele stracił ze swej potęgi, zauważył śpiącego lwa. Może wydać się to nieprawdopodobne, ale na Ziemi Lęborskiej, dokładnie tam, gdzie leży jej stolica, przed wiekami odpoczywał majestatyczny król dżungli.

Powie ktoś: to niemożliwe. Lew na Ziemi Lęborskiej? A jednak!

W epoce, o której traktuje nasza opowieść, lasy pomorskie wyglądały inaczej niż obecnie. Rosło w nich więcej drzew liściastych, sosny były rzadsze. Po lasach chadzały – działo się tak w epoce kamiennych kręgów Gotów – żubry, niedźwiedzie, łosie, wilki, rysie i bobry. Z bogatej fauny pozostały bobry i wilki.

Mieszkańcami ówczesnych kniei były także lwy. Jest rzeczą niewątpliwą, że *Panthera leo*, migrując po świecie, dotarła do Europy. Faktem jest jej obecność na Bałkanach, prawdopodobnie trafiła też do Włoch i Francji. Nieprzypadkowo trzy lwy znalazły się w herbie Bułgarii. Czy dotarły do brzegów Bałtyku, nie wiadomo. Nauka tego nie potwierdza. Jeśli jednak wsłuchać się w przekazy i podania, lwy pojawiły się na północy Europy. Przemawia za tym ich obecność w herbach Anglii, Szkocji, Norwegii, Danii, Szwecji, Finlandii, Estonii, Łotwy, Czech, Holandii, Belgii i Luksemburga. Długa to galeria. Obfitość kocich drapieżników przypadkowa być nie może.

Czy lew mógł trafić tam, gdzie niedawno szalał ogień? Mówimy, że władza afrykańską i indyjską dżunglą. Niezupełnie! On żyje na otwartych równinach, nie na pustyni i nie w bujnych, gęstych lasach równikowych. Jest królem sawanny: morza wysokich traw i rzadkich, niezbyt wysokich drzew. Henryk Sienkiewicz opisał przygody dwojga młodych ludzi wbrew tytułowi swej książki nie *W pustyni i w puszczy*, ale w pustyni i na sawannie. To nie na pustyni Staś Tarkowski zastrzelił lwa i uwolnił Nel Rawlison. Nie zrobił tego w puszczy lub w dżungli, bo do takich miejsc w swej powieściowej wędrówce nie dotarł. Odwagą i celnym okiem popisał się na afrykańskim stepie: sawannie.

Pogorzelnisko, po którym spacerował Renus, sawannę po pożarze przypominało.

XV

Lew nie spał, a tylko leżał nieruchomy. Gdy poczuł obecność Renusa, zwrócił w jego stronę potężną głowę owiniętą niczym szalikiem ciemnobrązową grzywą. Przenikliwie spojrzał na człowieka i zde gustowany skierował oczy na najbliższy krzak. Zamarł ponownie.

Renus nie przestraszył się go. Nie wiedział, jak się zachować. Obserwował zwierzę z nadzieją, że w razie czego ucieknie. Ale dokąd? Do rzeki otaczającej Wyspę Młyńską było daleko i lew dogoniłby go bez trudu. O wdrapaniu się na dąb nie było co marzyć.

Potężne zwierzę spojrzało ponownie na śmiałka i nieoczekiwanie ludzkim, głębokim głosem zadało pytanie.

- Czego chcesz?

- Niczego. - Renus odpowiedział szybko i bez okazywania zdziwienia. Przypatrywał się ciągle wielkiemu kotu z obawą, że ten go zaatakuje. Mężczyzna skonstatował w myślach: lew powiedział coś ludzkim głosem. Mocno pokręcił więc głową, by oddalić sen i nieuwagę.

- Ty mówisz jak człowiek? - nieoczekiwanie za plecami Renusa zapytała Nurata. Jej obecności Renus wcześniej nie zauważył.

- Jak się tu znalazłeś? Jeżeli jesteś głodny, nakarmimy cię. - Nurata mówiła ze spokojem, co było bardzo rozsądne. Skoro drapieżnik rozmawia jak człowiek, trzeba porozumieć się z nim tak samo, nie czekając, aż przestanie być łagodny.

- Jak ci na imię? - dodała po chwili.

Lew nie odpowiedział, tylko patrzył długo Nuratę i Renusa. W jego spojrzeniu nie wyczuwało się już niebezpieczeństwa.

- Jestem lwem wędrującym. Przybyłem z innej krainy. Znam wasze problemy. Wiem o pożarze i odbudowie. Wiem, ile zarabiacie na targu.

- A o kłopotach ze smętkiem wiesz? - wyrzuciła z siebie Nurata.

- Wiem też o żytniej babie, polnicy i rybach w Jeziorze. Czym się martwicie?

- Czy ty jesteś Aslan z krainy Narnia? - Nurata skojarzyła bieżącą obserwację z tym, o czym wieczorami opowiadał opiekun Andrzej. Nie było jeszcze wtedy *Opowieści z Narnii* wydanych jako książka przez Clive'a Staplesa Lewisa. Daleką Narnię znano z przekazów ustnych. Mieszkały w niej fauny, centaury i gadające zwierzęta, trafiali tam ludzie. Najważniejszy był Aslan, potężny i dobry lew, budowniczy Narnii, który po zakończeniu pracy pozostał w niej jako opiekun.

Na pytanie Nuraty nie było odpowiedzi. Lew usiadł, popatrzył na małżonków, uniósł obie łapy w górę i powoli opuścił w dół. Wypowiedział krótkie zdanie.

- Dalej wzwyż i dalej w głąb.

Słowa te, przekazane przez Clive'a Staplesa Lewisa, są najlepiej znanym cytatem z jego powieści. *Further up and further in*. Brzmi to jak dobra rada, hasło, dewiza i motto.

Nurata i Renus spojrzeli na siebie. Uśmiechnęli się i zaczęli dyskutować, jak rozumieć słowa lwa. Kiedy ponownie popatrzyli przed siebie, lwa nie było. Zniknął. Nie pojawił się w tym miejscu nigdy.

Niezwykłe spotkanie wydarzyło się tam, gdzie dzisiaj jest miejski rynek zwany Placem Pokoju.

Myśl rzucona przez lwa, którą, jak zapisał to Lewis, wypowiedział w Narnii pewien faun, powtórzył na Pomorzu lew. Młoda para zapamiętała ją na zawsze. Wkrótce zdanie to wypowiadali z powagą i przekonaniem ich bliżsi i dalsi sąsiedzi. Spodobało się Grażynie i Andrzejowi. Nuracie i Renusowi wierzono, że pewnego wieczoru naprawdę rozmawiali z lwem.

XVI

Znowu wiele razy pojawiali się w okolicach targu i Wyspy Młyńskiej smętek, żytnia baba i borowiec. Zwłaszcza *smātk* kręcił się i wiercił, zaglądał do domostw mieszkańców, próbował, jak zawsze z oddali, patrzeć im w oczy, zwracał na siebie uwagę. Nie wiedzieć skąd przybyli ponadto *mamón* od zakopanych skarbów, leśny *nikòlaj*, uruchamiający powietrzne wiry *krācēsšk*, usypiający *grzenia*, roznoszący gripę *pòszedło*, zdolny zatrzymać dojrzewanie zbóż *ówsny kón* oraz unosząca się nad rzekami i jeziorami, śpiewająca półkobieta i półryba, *mòrzëca*. Chociaż dziwnych postaci nie było mniej niż poprzednio, ludzie przestali być ospali, mało energiczni, niepewni siebie. Co najważniejsze, miasto rosło i zmieniało się jego otoczenie. Znikały ostatnie zniszczenia po pożarze, powstawały nowe domy, w warsztatach rozwijało się rękodzielnictwo, powiększała się powierzchnia pól i łąk, na targu było coraz więcej towarów i hałasu.

Chociaż rzadko wypowiadano słowa lwa; dalej wzwyż i dalej w głąb, zawsze o nich pamiętano i uważano je za ważne. Optymiści brali górę nad pesymistami. Gotowi spokojnie pracować byli w większej liczbie niż ospali i przestraszeni. Ludzie śmiali się na widok smętka w czarnym płaszczu, uzbrojonego w mizerny, banalny kij. Sprawy rodzącego się miasta ruszyły do przodu.

Jak twierdzą dzisiaj znawcy, nie jest łatwo zapoczątkować rozwój miasta, regionu i kraju. Dużo trudniej spowodować, by rozwój trwał długo i osiągnął wysoki poziom.

Zgromadzenie mieszkańców rodzącego się grodu postanowiło, po pierwsze, upamiętnić pomoc lwa w przezwyciężaniu trudności. Zasłużył się, by zachować go w pamięci wszystkich, którzy są lub pojawią się na tej ziemi. Miejsce, gdzie wieś zamieniała się w duże miasto, nazwano Grodem Lwa. Po pewnym czasie pojawiły się określenia krótsze, jednowyrazowe: Lewino, Łebno, Lębork, Lābórg, Lābórch, Lauenburg, Lebenporg, Lebēporg, Lewenborch, Lēbórg. Lemborkas. W każdej z tych nazw tkwi lwi ślad. Po drugie, zdecydowano, że w herbie miasta znajdzie się lew, opiekun Wyspy Młyńskiej i całej miejscowości. Po trzecie, uzgodniono,

że na Placu Pokoju, jak już wieki temu chciano nazwać miejsce w naszych czasach centralne, zostanie postawiony drewniany pomnik śpiącego lub siedzącego lwa. Tego zamiaru do tej pory nie zrealizowano. Zrobili to mieszkańcy Pucka, którzy również, przed wiekami, mieli do czynienia z lwem.

XVII

Na Wyspie Młyńskiej kończył się długi, ciepły dzień. Słońce powoli zniżało się, by niedługo zniknąć za horyzontem. Nurata i Renus wyszli z domu. Postanowili przejść się do rozłożystego dębu, pod którym kiedyś wypatrzyli lwa. Lęborskiego lwa, bo tak powszechnie go wspominano.

Na końcu najbliższej dębowej gałęzi Nurata dostrzegła słowika. Zastygła i ostrożnie dała znak ręką Renusowi. Oboje przyglądali się niedużemu ptaku z brunatnym upierzeniem, rdzawą plamą na ogonie, jaśniejszym spodem i żółtawym dziobem. Wyglądał bardzo zwyczajnie. Daleko mu było do wielobarwności szczygła, niebieskości zimorodka, czerwieni gila, dostojności orła czy elegancji łabędzia. Ot, mały, skromny ptak, gatunek słowik szary, *Luscinia luscinia*, ale przecież wielki śpiewak, mistrz nad mistrzami.

- Czy zaśpiewa? - pomyśleli oboje.

Tak się stało. Najpierw wydał z siebie kilka izolowanych, krótkich, głuchych dźwięków, coś w rodzaju strzałów. Potem słychać było dźwięki znowu pojedyncze, ale cichsze, bardziej śpiewne i wysokie. Miejsce zwięzłych, muzycznych motywów zajmowały stopniowo frazy dłuższe. Były to dźwięki wysokości zmiennej, głośności różnej, barwy prześwietnej i niepowtarzalnej. Muzyka stała teraz bardziej delikatna i wyrazista. Dźwięki jakby unosiły się w górę. Chwilami pięły się ku niebu.

Ptasi koncert nie trwał długo. Słowik wydał suchy terkot, zamilkł i przeleciał na gałąź obok.

Nurata i Renus milczeli. Czekali na benefisu ciąg dalszy. Nie chcieli ptaka spłoszyć, choćby głośnym oddychaniem. Nie spuszczała z niego oczu. Wytężali słuch.

Po chwili słowik wznowił koncert jednego muzyka. Jego śpiew tworzył teraz naręcze wielu elementów, odmiennych tonów i nieoczekiwanych zwrotów. Łączył dźwięki lekkie i mocne, głośne i dyskretne, trwające dłużej i urywające się, szybko umykające. Powstał muzyczny kolaż: połączenie różnorodnych składników bez konfliktu między nimi. Muzyczna

kolekcja ingrediencji niejednakowych, rozmieszczonych bez planu, jakby przypadkowych, ale subtelnych i pięknych.

Wreszcie słowik skończył i odleciał dalej. Słuchacze nie bili brawa. Jeszcze długo stali obok siebie i nie chcieli wracać do domu.

Swoją recital szary słowik wykonał na przyszłym Placu Pokoju.

XVIII

Mijały lata. Nurata i Renus cieszyli się opinią ludzi pogodnych i zaradnych. Dbali o sąsiadów i zawsze mogli liczyć na rewanż z ich strony. Byli lubiani, między innymi dlatego, że prawie nigdy ze sobą się nie kłócili. Wnieśli niemały wkład w rozwój przyszłego Lęborka. W Grodzie Lwa, razem z dziećmi i wnukami, żyli długo i szczęśliwie.